

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Point de réveries.

Znowu zawód. Właściwie po raz pierwszy spodziewaliśmy się naprawdę, że w stosunkach polskolitewskich nastąpi jakiś zwrot ku lepszemu. Do rozmaitych konferencji pod egidą Ligi Narodów, jakoteż prób porozumienia, przedsięwziętych od czasu do czasu przez ludzi dobrej woli odnosiliśmy się na ogół z uzasadnionym sceptycyzmem. Obecnie jednakże zdawało się nam, że nadszedł moment sprzyjający rokowaniom i że znalezienie wspólnego języka nie będzie tak trudnym, jak dawniej.

Oświadczenie ministra Becka rozwiało te nadzieje. *Prywatna* misja hr. W. Zubowa nie miała powodzenia, i wobec tego „żadne negocjacje polityczne między Warszawą a Kownem nie są w toku” — Kto jest temu winien? Dotychczas politycy litewscy swym nieprzejednanym stanowiskiem w sprawie wileńskiej uniemożliwiali wszelkie porozumienie kompromisowe. Obecnie zdaje się, nastąpiła zamiana ról. Kowno gotowe byłoby bodaj do pewnych ustępstw ze swego programu maksymalnego, ale teraz właśnie Warszawa nie chce słuchać o żadnych targach na punkcie Wilna.

Tak przynajmniej należy sądzić z wywodów p. Testisa w „Kurjerze Wileńskim”. Minęły te czasy, gdy „Kurjer Wileński” reprezentował opinię, wprawdzie wyrażaną bardzo nieśmiało, ale bądź co bądź samodzielną, grupy miejscowych sanacyjnych „demokratów”, działającej w ścisłym porozumieniu z możliwymi sympatykami programu federalistycznego w Warszawie. Wtedy „Kurjer Wil.” przemawiał tonem pojednawczym i zarzucał politykom kowieńskim zbyt doktryneryzm. Dziś „Kurjer Wil.” wyzbył się doszczętnie wszelkich aspiracji autonomicko-federalistycznych i stał się usługą tubą M. S.

Z. w Warszawie. Powiada tedy p. Testis stanowczo i wyniośle: „Mrzonką jest poszukiwanie kompromisów w sprawie Wilna z Polską. Taki kompromis wymaga drugiego kontrahenta, któryby zasadniczo jego możliwość uznawał. Rzecz jasna (?), że Polska dziś mniej niż kiedykolwiek skłonna jest do koncesyj ze swego stanowiska w sprawie Wilna. Trzeba nie mieć elementarnej zdolności politycznej oceny, aby móc przypuszczać, że może Polska coś w tej dziedzinie ustąpić”.

Innymi słowy p. Testis żąda od Litwy całkowitej i bezwarunkowej kapitulacji, wychodząc z założenia, że obecna pozycja międzynarodowa Polski jest o tyle korzystna, iż może ona wymagać od Litwy formalnego uznania *status quo*, istniejącego od r. 1922, nie potrzebując ze swej strony czynić jakichkolwiek ułatwień w tym kierunku.

Jeżeli komentarze p. Testisa wiernie odzwierciedlają poglądy warszawskich sfer decydujących, — a mamy prawo przypuszczać, że tak jest istotnie, — to należy dojść do wniosku, że sprawa unormowania stosunków sąsiedzkich pomiędzy Litwą a Polską staje się beznadziejną i dotąd nie ruszy z martwego punktu, dopóki nie zajdą jakieś nieprzewidziane wypadki na widowni międzynarodowej. Nie wydaje się bowiem prawdopodobnym, by Litwa czy dziś, czy w najbliższej przyszłości, mimo swej izolacji, o której tak często dziś się pisze, gotową była do uczynienia zadość żądaniom Polski, nie uzyskując od niej nic wzamian, prócz nawiązania stosunków dyplomatycznych. Zaprzeczenie urzędowe pogłoskom o dymisji ministra Zauniusa, które się ukazało jednocześnie z oświadczeniem ministra Becka, wskazuje wyraźnie, że kierunek polityki litewskiej nie ulegnie żadnym zmianom zasadniczym.

A gdyby nawet z tych lub owych względów, pod naciskiem takich lub innych okoliczności Litwa uczuła się zmuszoną do kapitulacji, to nie widzimy

powodu, by cieszyć się z tego powodu. Będzie to bowiem tylko porozumienie pozorne, wymuszone, nie wnoszące istotnego odprężenia w stosunki wzajemne obu sąsiednich narodów, a co najważniejsze, nie posuwające ani o włos rozstrzygnięcia kwestji wileńskiej. Problem wileński zaś, wbrew wszelkim zapewnieniom urzędowym i prasowym, istnieje i istnieje nie przestanie, chociażby nawet rząd i społeczeństwo litewskie zrezygnowały ze swych pretensyj do Wilna.

Bo o kwestji wileńskiej nie decyduje zatarg polityczny pomiędzy Warszawą a Kownem, lecz sztuczny podział historycznego i geograficznego terytorjum, który wytworzył, nie dającą się zagoić ranę, wycieńczającą organizm krajowy. Samo nawiązanie formalnych stosunków dyplomatycznych pomiędzy Warszawą a Kownem tej rany nie zasklepi. Potrzebne są jeszcze inne środki antyseptyczne, któreby do tego celu prowadziły, w pierwszym rzędzie oczyszczenie atmosfery z trujących miazmatów nienawiści i uprzedzeń, a to jest możliwe tylko przy porozumieniu, opartem na wzajemnych ustępstwach.

Twarde słowa *point de réveries*, które p. Testis wyczytał w oświadczeniu min. Becka, nie przyczynią się napewno do utrwalenia i pogłębienia prądów rewizjonistycznych, jakie dawały się zauważyć ostatnio w opinji litewskiej, a odbiegające jaskrawo od zwyczajów dyplomatycznych odezwanie się Marszałka Piłsudskiego o b. premierze litewskim prof. Voldemarasie może tylko obruszyć nawet jego zdecydowanych przeciwników. Traktowanie lekceważące, zgóry wyniki pożądane daje jedynie w wypadku, gdy się ma do czynienia z naturą lokajską, niewolniczą. Litwini złożyli aż nadto dowodów, że nie są skorzy do zginania karku. Można im raczej zarzucić zbytnią zaciętość i brak giętkości, tak potrzebnej w polityce międzynarodowej. Kto, jak kto, ale *musu žmogus* powinien chyba psychikę narodu litewskiego dobrze znać i rozumieć. Czemuż więc obrał taktykę,

która nasuwa reminiscencje z czasów pańszczyżnianych?

Przecież tak niedawno ukazał się wiersz Iłakowiczówny, w którym poetka kreśli następującą trafną i wierną charakterystykę narodu litewskiego:

*„Sami, tylko sami. Nie chcą nic. Pracują. Cierpliwi, zvarci w milczeniu.
Prośły obyczaj ich. Nie proste—spodełba spojzenie.
Wkoło lasy, lasy. Brzozy chwieją warkoczami przy gościńcach.
Dziewczęta smukłe, wysokie, cbodzą w chustkach lub kwiatowych wieńcach.
Wygнали bogatych i możnych, sami surowi, niezdobni.
Nie przekona ich nikt i niczem, i rozbije — może, nie rozdrobni..
Zeszli się w szary mur, w niezłomny kamień i oporu.
I tak przetrwają, niechby nawet dach nad głową im zgorę.*

Jaka szkoda, że poeci nie mają wpływu na politykę!

„Słowo” przedrukowało prawie w całości nasz artykuł p.t. „Znikąd współczucia”, zaopatrując go oczywiście we własne komentarze. Uwagi redakcji „Słowa” są nacechowane żłśliwością, ale nie wytrzymują krytyki.

Zdaniem „Słowa” idea Witoldowa jest sprzeczna z polską racją stanu. Jeżeli tak, to czemu przed paru laty redaktor „Słowa” brał udział w komitecie, który organizował uroczysty obchód pięćsetnej rocznicy śmierci W. Księcia Witolda i nosił się z zamiarem wystawienia mu pomnika w Wilnie? Kiedy p. St. Mackiewicz był szczerzy?

Dalej „Słowo” pisze: Intencje tego artykułu polegają na wytłumaczeniu ziemianom: „Widzicie jak was w Polsce traktują. Odwróćcie się od Polski, pogódźcie się z tutejszym ludem, a zobaczycie będzie Wam lepiej”. Jakgdybyśmy nie wiedzieli, jak to tam jest „z tym ludem” na Litwie Kowieńskiej i na Białejrusi Sowieckiej. Nie, drodzy, *nie zamanisz!*”

Bernardyni na Litwie i Białorusi.

(Dokończenie).

„Przyszły kłęski zewnętrzne, jak kilkakrotne powietrze. R. 1560—64 w konwencie wileńskim zdarzały się pożary. Po pierwszym, wznieconym przez inowierców, sumptem królewskim szkody naprawiono. Inaczej po drugim. Kościół pozostał opuszczoną ruiną. Nie miał sklepienia, ani ołtarzy, ani ozdób, ani obrazów. Nie lepiej wyglądało w klasztorze. W refektarzu, w infirmerji zaczęły wyrastać drzewa! Nabożeństwo przeniesiono do św. Anny. Liczba zakonników coraz się zmniejszała, niechybnie także wskutek głodu i moru 1569, aż do r. 1571 spadła do pięciu. Na domiar złego między nimi wrzały spory, słyszymy o nich przynajmniej r. 1567. Nie inaczej się działo i w Kownie. Tam 1571 pozostał tylko jeden zakonnik! Ostatni

bracia nie byli w stanie utrzymać domu, konwent się rozpadł. Na gruncie klasztornym świeccy stawiali sobie domy. Aby mieć co jeść, zakonnicy musieli sprzedawać książki i kielichy. W Tykocinie r. 1571 zostało trzech braci: ksiądz, kleryk i laik.

A wcześniej jeszcze przestał istnieć klasztor połocki. Atoli tego koniec stanowi pomnik chwały naszych zakonników. R. 1563 Iwan Groźny zdobył Połock, klasztor kazał spalić, a braci Fatarow pozabijać. Gwardjan Paweł, dalej Dominik, Marcin, Wacław i Adam znaleźli śmierć męczeńską dnia 12 stycznia*).

„W tym rozpaczonym stanie prowincji, spadłej do dziewięciu zakonników, pewnej żywotności dowodzi, że jednak wybierano ciągle prowincjałów. Ówczesny, i ostatni, Antoni z Tykocina, zdobył się na postanowienie, brzemienne w skutki: przyłączyć

*) Podobizny Ich są w skarbcu kościoła po-Bernardynskiego w Wilnie.

Dlaczego zbliżenie ziemiaństwa do miejscowego ludu w umyśle redaktora „Słowa” kojarzy się z odwróceniem od Polski? Czyżby „Słowo” uważało cały lud miejscowy za wrogo usposobiony względem państwowości polskiej? Jeżeli tak, to jakim cudem reprezentują ten lud w Sejmie warszawskim wyłącznie posłowie z Bloku Bezpartyjnego? To raz. Po drugie przykład Litwy Kowieńskiej (o Białorusi Sowieckiej trudno mówić, gdyż lud tam nie ma głosu) został wybrany zgola niefortunnie. Właśnie opłakany los ziemiaństwa w Republice Litewskiej jest najlepszym dowodem, jak zgubną była polityką szlachty tańszej, holdującej przed wojną zasadzie „wspaniałego odosobnienia”! Wreszcie po trzecie. Co oznacza używany przez „Słowo” termin *Litwa Kowieńska*? Jaką inną Litwę ma „Słowo” na myśli? Czyba *Wileńską* albo *Środkową*? Ale czy takie zapatrywanie nie jest w sprzeczności ze stanowiskiem sfer urzędowych, wytykających nieprawomyślność miejscowej prasie litewskiej, posługującej się stale terminem *Litwa Niepodległa*?

Słowem stek niekonsekwencji.

Ciasno i głodno.

*A w stronie każdy god
Niedorod, niedorod...*

Bywało w Rosji carskiej, że co roku — to tu, to tam — w którejś z gubernij *mużiczki* głodowali. Aby nie mącić systemu: *wsio obstoit blagopoluczno* — władze rosyjskie nie używały drastycznego słowa głód, a określały ten stan słowem bardziej łagodne brzmieniem — „niedorod”. O tych to częstych „niedorodach” śpiewali rosyjscy studenci: *a w stronie każdy god — niedorod, niedorod...*

Współcześni nam studenci Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie — śpiewają inne melodje. Rolę śpiewających o obecnych *niedorodach* Wileńszczyzny przejęła na siebie miejscowa administracja. Co roku prawie, głośniejsz lub ciszej, administracja miejscowa alarmuje wysokie władze w Warszawie o nieurodzaju — mniejszym lub większym — dodając w wypadku ostatnim wieloznaczące słowo „kłęskowy”. Z głosów oficjalnych wypada stwierdzić, że co roku Wileńszczyznę nawiedza nieurodzaj, a co parę lat nieurodzaj, „kłęskowy”. Kłęskowy nieurodzaj — to coś w rodzaju „niedorodu” rosyjskiego.

Parafrazując piosnkę rosyjskich studentów, śpiewaną w dawnej Rosji, do obecnie panujących w naszym kraju stosunków, możnaby również zaśpiewać i u nas *a w stronie każdy god — niedorod, niedorod...*

W tym roku jednak tenor alarmu władz miejscowych był mocniejszy: „w północnej Wileńszczyzny głód”. To groźne słowo dotarło do Warszawy i dalej, rozległo się echem współczucia dla głodujących „kresów” — i w rezultacie po szynach kolejowych, na szlaku Warszawa-Wilno dudnią już wagony naładowane zbożem i mąką. Głód ostatecznie będzie zażegnany, a ludek tutejszy przekona się, że w Polsce chleba jest dosyć i, że władza myśli o jego pustych żołądkach. Ale, jak to zwykle bywa z wdzięcznością, już zjawiają się malkontenci, którzy wyrażają obawy (zresztą uzasadnione), że ci którzy mają trochę zboża, nie będą w stanie go spieniężyć. Inni, złośliwie szepczą, że samogonka będzie tańsza.

Chroniczny „kłęskowy nieurodzaj”, a jak w tym roku — głód, zasługuje na to, aby nad tem zjawiskiem nieco głębiej się zastanowić. Urzędowa statystyka wykazuje, że średni urodzaj zbóż tu uprawianych, bez uwzględnienia pszenicy, nie mającej w uprawie szerszego zasięgu, waha się między 6—8 centnarami metr. z hektara, czyli, że urodzajność średnia waha się około 40 pudów, podług dawnej miary. Jest to norma mniej więcej podobna do urodzajności przedwojennej. Sytuacja ze stanem urodzajów nie pogorszyła się zatem, a może nawet jest nieco lepsza. A jednak w kraju naszym przed wojną nie notowano stałych *niedorodów*. Wprawdzie i *miakinka* do chleba szła, i z *torboczkami* ludek chadzał na wiosnę w poszukiwaniu za chlebem, ale jakoś alarmów z tego powodu nie robiono. Może zaborcze władze rosyjskie były mniej wrażliwe na dolę tutejszego chłopca? Ale wydaje się, nie tu jest przyczyna.

Dla miejscowego włościanina gospodarstwo rolne nie stanowiło dawniej jedynej opory w życiu. Z brakiem chleba dawał sobie radę, uzupełniając swój budżet zarobkiem na stronie i dokupując brakujący chleb. Gdy było ciasno i głodno w chacie, szedł za chlebem w świat. A świat stał mu otworem. Znał szlaki, któremi chadzać nauczyło go życie. Wyrwał się za morze po dolary, jechał „czugunką”

klasztory litewskie znowu do polskiej prowincji. Utorowała do tego drogę zmiana położenia politycznego: r. 1569 na miejsce dotychczasowego luźnego związku Polski i Litwy, przysłała unja Lubelska. Zresztą ówczesny stan konwentów litewskich, przed półwieczem kwitnących, nie przedstawiał żadnej wartości dla jakichkolwiek posunięć politycznych”. Trudno dziś wiedzieć.

„Postanowienie prowincjała Antoniego niezawodnie poprzedzały narady, czy to z braćmi, czy z zwierzchnością diecezjalną. Biskup Protaszewicz (1555—79), kapituła katedralna, burmistrz Rotundus, poparli gorąco ten zamiar, a zdaleka patronował mu Hozjusz, wilnianin. Zaopatrzone braci w listy polecające, delegacja litewska wyruszyła do Polski. Składali ją: Jan z Kamieńca, kaznodzieja wileński, Stanisław z Wilna i laik Jan z Witebska. Było to w roku 1570, czy początkach 1571... W zarządzie prowincji wniosek litewski przyjmowano z zadowoleniem, lecz z zastrzeżeniami, bo nie zapom-

niano dawnych kłopotów z Litwinami. „Niedarmo Komorowski w swojej kronice przestrzegał przed ewentualną reakcją. W prowincji polskiej panowała opinja o Litwie jako o kraju dzikim i barbarzyńskim, istniała żywa niechęć udać się w tamte strony. Z drugiej strony odzyskanie ważnych placówek, rozprzeźnienie prowincji, sukces moralny reunji miały swoją wymowę. Nie należało też lekceważyć woli biskupa, a zwłaszcza kardynała. Ostatecznie zgodzono się na przyjęcie, ale nie w formie reunji. Polacy byli gotowi objąć klasztory litewskie jako nową fundację, pozostałych jeszcze kilku braci Litwinów wcielając do swojej prowincji”.

Na kapitule generalnej 147 r., na której przyjął miano do wiadomości potwierdzającej likwidację prowincji litewskiej, delegatem litewskim był gwardjan kowieński Paweł z Kamieńca, „Kapituła rzymska zatwierdziła umowę według woli Polaków, a nie zdaje się, żeby Paweł czynił trudności. Był może już w podeszłym wieku. Umarł w powrotnej dro-

do dużych miast, zawsze łaknących taniej siły roboczej. Ryga, Petersburg, Moskwa, Odesa i t. d., były to na dziesiątki rachowane ośrodki, dokąd ludkę tujejszy chadzał chleba szukać. Były też i na miejscu, dla mniej energicznych, czy mniej głodnych, zarobki. I o Wilno zaczepić się było można, i we dworach zarobku nie brakło. Słowem nie biedował, gdy swego chleba mu nie stawało. To też i o *niedorodach* w Wileńszczyźnie nie często było słyhać.

Zmieniła się jego sytuacja w Polsce. Znane mu szlaki — znikły. We dworach nie zarobi. Do Wilna nie wbije się — bo tu dla niego miejsca już niema. Na zachód nie chodzi, bo i nie zna tej drogi, a jeśli który spróbował, to z kwitkiem stamtąd powracał. Przepętał na brzuchach przez granicę wschodnią — ale i stamtąd ledwie żyw wracał. To też siedzi na swoich wąskich sznurkach (a robią się one coraz to węższe) i od wiosny do wiosny walczy z „niedorodem”.

Wprawdzie jest postęp. Dzieci przymusowo uczą się po szkołach *bramaty* „pańskiej”; choć traktują go ostro i opryskliwie, jak dawniej, ale mówią mu „pan”; z panami zasiada w gminach; ma szosy i bruki, po których kości wytrzęsa i podeszwy zbijają. Ale zarobić na chleb — nie ma gdzie. Już i nie próbuje nawet szukać. A tymczasem coraz gęściej robi się po wioskach. Coraz gęściej i coraz głodniej. Bo rzecz prosta — ludku przybywa, płodzi się to dobrze. Urodzaj najniższy w Wileńszczyźnie statystyka wykazuje na całe państwo, ale za to inna statystyka chlubnie wykazuje, że płodność jest tu najwyższa.

To też wydaje się być prawdziwym, że przy czyną naszych obecnych *niedorodów* nie leży jedy nie w „kłęskowych” nieurodzajach, lecz w warunkach strukturalnych i konjunkturalnych kraju. Ziemia nasza jest uboga, klimat chmurny i niesprzyjający rolnictwu. Aby rolnictwo podnieść na taki poziom, żeby mogło ono wyżywić rzesze wiejskiego ludu — potrzebne są warunki. A warunków tych niema. Z jednej strony potrzebne byłyby bardzo wielkie nakłady inwestycyjne, na które państwo dziś pójść nie może, z drugiej — inna konjunktura gospodarcza. A wszak konjunkturę obecną charakteryzujemy głucho i łatwo słowem — kryzys. Przeciwstawiają się zaś jemu jedynie idące od czasu do

czasu z Warszawy podarunki dla głodnych, za które też trzeba nie mało zapłacić.

Dlatego też sceptycznie trzeba patrzeć na to deptanie się od lat wielu w miejscu, czego wyrazem jest nasza rzeczywistość gospodarcza. Wóz rzeczywistości rolniczej nie rusza się naprzód, stoi na miejscu. Ale powstają siły, które już poczną go spychać — potoczy się wtedy wstecz. Dokąd? Któż to odgadnie!

Tymczasem wagony ze zbożem dla głodnych, na szlaku Warszawa — Wilno, dudnią wesoło. Również wesoło brzmiał przyśpiewek w piosnce rosyjskich studentów o *niedorodach*: „wery czumbara ra... wery czum, czum, czum...”

Rusticus.

Hymny narodowe i państwowe.

Nie każdy sobie zdaje sprawę, jak doniosłą rolę w życiu społecznym odegrywa pieśń patriotyczna lub bojowa. Wystarczy przypomnieć rolę polskiej pieśni patriotycznej z czasów niewoli, aby utwierdzić się w przekonaniu, iż ma ona siłę porywania danej społeczności do wielkich czynów, do szerzenia pewnych idei, które bez tej pieśni nie zawsze docierałyby do najdalszych zakątków i nie miałyby możliwości spopularyzowania się pośród szerokich mas ludności. Wiedzieli o tem najlepiej socjaliści i rewolucjoniści wszelkiego autoramentu. Nic dziwnego, że akcja ich w znacznej mierze opierała się na szerzeniu pieśni o treści podburzającej, opiewającej krzywdę upośledzonych klas i obiecującej wymarzoną przyszłość nowego ustroju. Można z całą pewnością twierdzić, że słowa i muzyka Marsyljanki odegrały w czasie Rewolucji Francuskiej nie mniejszą rolę, niż płomienne mowy i słowo drukowane. To samo da się powiedzieć o pieśniach rewolucyjnych w Rosji.

By jednak pieśń taka miała wpływ na masy i mogła stać się ich własnością, musi mieć obok tekstu odpowiadającego nastrojom i potrzebom ludności melodię piękną, nieskomplikowaną, o tem-

dze w Bodzentynie r. 1572, coby wskazywało na dłuższą chorobę”. Tak pogrzebano, po czterdziestu latach istnienia, prowincję litewską...

Postanowiono objąć domy litewskie i obsadzić je zakonnikami z prowincji polskiej, rzecz prosta, Polakami. „Pierwszy Polak, wysłany do Wilna, to Sebastian Piszczaty, ale on wyruszył po 13 czerwca 1572 dopiero”, odświęciwszy wprzód u siebie wielkie doroczne święto *Santo Padre Antonio*... W tym czasie pożegnali się z tym światem Antoni z Tykocina i Stanisław z Wilna. „Może wypadki polityczne: śmierć Zygmunta Augusta, bezkrólowie, odroczyły ostatecznie urządzenie konwentów litewskich”. Dopiero 24 sierpnia 1576 r. warszawska konferencja prowincji ustanowiła pierwszego gwardjana wileńskiego Mikołaja z Bielska, którego rychło zamienił tu desygnowany przez kapitułę tarnowską 26 maja 1577 Leonard Kretka. Gwardjanem kowieńskim został Bernardyn z Świętego, tykocińskim — Bernardyn z Tykocina.

W wieku XVIII prowincja litewska powstała na nowo, przy większej już liczbie klasztorów i zakonników, na odmiennych podstawach i nowych warunkach politycznych.

„Misja wschodnia na Rusi i na Litwie stanowi jedną z najpiękniejszych kart w dziejach bernardynskich, i to nie tylko polskich. Szerzą wiarę katolicką w każdej postaci, bo zakonnicy nie poprzestając na własnym obrządku łacińskim, ożywiają także unję, chociaż bez trwałego wyniku, a obstawając za ważnością sakramentów wschodnich, torują drogę i do lepszego uświadomienia religijnego i większego poszanowania wzajemnego Polaków i Rusinów... Działalność misyjna Bernardynów uderzyła już historyka Wilna (Kraszewskiego) w połowie zeszłego stulecia, że napisał: *Cokolwiek się osiedziawszy, Bernardyni poczęli usilnie lud prosty, a mianowicie Ruś nawracać, i byli najgorliwszymi apostołami, aż póki ich wprowadzenie Jezuitów nie zaćmiło*”.

Na Litwie i Białorusi wiara katolicka w znac-

pie i rytmice, odpowiadającej znaczeniu tekstu. Pieśń bojowa nie może mieć melodji przeciągłej, jak to spotykamy w pieśniach religijnych, a te ostatnie nie mogą być skoczne i zbyt wesołe.

Do najbardziej doniosłych i popularnych pieśni należy niewątpliwie zaliczyć hymny narodowe i państwowe. Nie wszystkie narody i państwa mają szczęśliwie skomponowane te hymny, nie zawsze jednak zmieniają je na inne, gdyż tu już ma się do czynienia z przywiązaniem do tradycji.

Poprobuje zrobić krótki przegląd bardziej znanych u nas hymnów.

Piękny pod względem melodji, majestatyczny hymn o charakterze modlitewnym miała Rosja carska (kompozycja Lwowa). Nie nadawała się jednak ta melodja do śpiewu przez ludzi niewykształconych w muzyce. „Boże caria chrani” miała modulację do oddalonej tonacji minorowej i dlatego żołnierze w koszarach, którzy byli zmuszeni ten hymn śpiewać, stale go fałszowali. Znacznie gorzej działo się z tekstem. Mogli ze spokojem sumieniem słuchać lub śpiewać go tylko Rosjanie prawosławni, i w dodatku zwolennicy absolutyzmu. Nic dziwnego, że każdy postępowy Rosjanin, a szczególnie „inorodiec”, uważać słusznie musieli taki hymn za prowokację. Polacy bojkutowali go w pierwszym rządzie, a szkody dla rosyjskiej racji stanu z powodu tego chybionego hymnu można uważać za nieobliczalne. Po takim hymnie mógł przyjść tylko bolszewicki „Internacjonal”.

Nowy hymn, wprowadzony przez komunistów, jest całkowitem zaprzeczeniem dawnego. Rytm energiczny, bojowy, choć melodję do bardzo udatnych zaliczyć nie można. Tekst wybitnie rewolucyjny, zdolny niejednemu przeciętnemu obywatelowi sowieckiemu zastąpić program społeczny. To też hymn ten, uznany i przyjęty zresztą przez wszystkich komunistów na świecie, położył dla nowej „wiary” niebyłe zasługi.

Powagą i prostotą, jeśli chodzi o melodję, odznacza się hymn narodowy niemiecki (do muzyki Mozarta). Jak się zdaje, obecne Niemcy hitlerowskie wprowadziły inny hymn państwowy.

Piękny hymn narodowy posiada Litwa. Ma on równy, miarowy rytm i stosunkowo łatwą do zapamiętania melodję, czego nie można powiedzieć np.

o hymnie czeskim. Co do tego ostatniego, trzeba zaznaczyć, że posiada jak w muzyce, tak i w słowach dużo sentymentu, przydługą melodję i skomplikowany rytm. Jest melodyjną pieśnią o zacięciu salonowym. Wszystko to jednak nie odpowiada warunkom hymnu państwowego lub narodowego.

Nie posiadają ustalonego hymnu narodowego Białorusini. „A chto tam idzie”, do muzyki Rogowskiego już, można powiedzieć, przeżył się; słowa zawierają minimalny program społeczny („Ludźmi zwacca”), muzyka zaś ma charakter pieśni solowej o szerokiej skali głosu. Poza tym rytmika przeplatana pauzami nic nie ma wspólnego z charakterem i prostotą hymnu. To też zastąpiono tę pieśń nowym hymnem do słów Kupały p. t. „Niepahasnuć zorki”. Takt nieparzysty, długa melodja, zbyt górnolotny tekst przeszkadzają jednak popularyzacji i uznaniu tej pieśni przez wszystkich za hymn narodowy. To też największym wzięciem cieszy się „Ad wieku my spali”, pieśń zdecydowanie rewolucyjna. W tekście posiada sporo niewybrednych zwrotów, lecz krótkość melodji, jej prostota, marszowy charakter, no, i... zakaz śpiewania — to wszystko zapewniło jej jaknajszersze rozpowszechnienie.

Na specjalną uwagę zasługuje hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”. Nad nim trzeba zatrzymać się dłużej, gdyż jest u nas obowiązującym hymnem państwowym.

Mazurek Dąbrowskiego. Te dwa słowa mówią za siebie. Pierwsze jak wiadomo, oznacza taniec, drugie świadczy o anachronizmie. Jako stara piosenka wojenna, posiada swoje bezsprzeczne walory, jest swojego rodzaju dokumentem historycznym. Ale tego jeszcze niedość, by stała się hymnem państwowym w Polsce, zwłaszcza dla mniejszości narodowych. Wyobraźmy sobie jak w Polsce Białorusin, Litwin, Ukraińiec, Niemiec i Żyd powstawszy z pietyzmem, lub maszerując w zgodnym chórze śpiewają: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. Nie. Przecież tego nawet wyobrazić sobie nie można! Łatwiej było ongiś Polakowi śpiewać „Boże, cesarza chroń”, niż obecnie nie Polakowi w uroczystych chwilach przyrzekać, że zrezygnuje ze swojej przynależności narodowej, i zostanie Polakiem. „Nie trzeba tego brać dosłownie, to tylko historyczna piosenka” — powie ktoś. Ale czyż

nym stopniu zawdzięcza swój rozwój wschodniej misji Bernardynów *).

Polemisci nowowierczy w. XVI doceniali poważnego przeciwnika w osobie Bernardynów. Nazywali ją wprawdzie „gromadą szkodliwą, jadowitą”, lecz jednocześnie zalecali strzec się ich najpilniej, jako „prawdziwych Obserwantów, ojców świętych”, co „widzą życie czyste w słowach, uczynkach i ruchach...; nic nie mają własnego, nie biorą pieniędzy, nawet w rękę” i t. d. i t. d. Cokolwiek niedostawało im w okresie nowinek religijnych wykształcenia, zwłaszcza w dogmatyce i kontrowersji, umieli jednak „wyśmienieć zawstydząć” lutrów.

Wielu też nawróceń nie dokonali, ale i sami mocni byli w wierze.

Nie przeszkodziło to im wcale mieć możnych przyjaciół w osobie królów i królowych, też Krzyc-

*) W ostatnim lat dziesiątku już kilku Bernardynów w Jugosławji przyjęło obrządek wschodni i w nim pracuje, w myśl dawnych tradycji Zakonu.

kiego, Uchańskiego, Karnkowskiego, Jerzego Radziwiła i in. dygnitarzy kościelnych.

Bernardyni, po myśli św. Franciszka, byli usposobieni dość demokratycznie. Kaznodzieja bernardyński — fakt autentyczny — umiał nieraz z ambonny wołać w te słowa: „Królu polski i wy, wojewodowie, starostowie, kasztelani, ręce swoje :ciągnijcie na szlachtę i na mieszczan... i odwróćcie gniew Pański”...

W późniejszych wiekach oblicze duchowe zakonu zmieniło się na gorsze.

Bernardynom sekundowały w pracy Bernardynki (Koletki) istniejące w Wilnie już od r. 1487. Nieco później, pojawiły się one i w Kownie. W Wilnie do Bernardynek wstąpiła Aleksandra Gasztoldówna, wojewodzianka Anna Olechnowiczówna, księżniczka Barbara i in. Przed r. 1502 posiadały już dom z kaplicą na Zarzeczcu, stąd późniejsza nazwa *Zarzeczne*. Stosunki z Bernardynami były różne — dobre i złe. Były pod ich opieką duchową, jednak gdy kaplica zakonna braciom w czemś zawadzała, król Aleksan-

można i należy wykonywać hymn zupełnie bezmyślnie, nie dbając o jego treść? Dawniej czy dziś, nie ma sensu przyrzeczenie Chińczyka, że zostanie Anglikiem lub odwrotnie. Tylko Anglik może mówić, że jest i pozostanie Anglikiem. Tak przynajmniej każe rozumować logika.

A trzeba wiedzieć, że pomimo wszystko, tu u nas, na gruncie wileńskim władze nieraz zalecały na uroczystościach i obchodach białoruskich i litewskich wykonywanie tego niefortunnego hymnu. Że takie propozycje nie osiągnęły skutku i nie przybrały formy rozkazu, należy prawdopodobnie zawdzięczać przede wszystkim zrozumieniu zobopólnemu o niewłaściwości wykonywania „Jeszcze Polska nie zginęła” przez obywateli innej narodowości. Zresztą śpiew w formie tańca, gdzie jest mowa o „niezaginięciu, póki my żyjemy” musi budzić refleksje, że „po nas choćby potop” i nie może odpowiadać narodowym uczuciom również Polaków.

Chociaż hymny państwowe jak paćierze, gdy stają się obowiązującymi, wykonywane są najczęściej automatycznie — ostatnimi czasy w Polsce zaczyna się budzić zrozumienie potrzeby zmiany. Coś się tam na ten temat miarkuje w Warszawie. Prasa podawała niedawno, że jeden z kompozytorów, jak się zdaje Maklakiewicz, zaprojektował połączenie Mazurka Dąbrowskiego z Pierwszą Brygadą. Oznacza to widocznie przeplatanie się dwóch melodii jednocześnie w odpowiednim opracowaniu muzycznym. Jest to projekt dziwaczny i nigdzie dotąd nie praktykowany. Wprawdzie w ubiegłych stuleciach podrzędniejsi kompozytorzy bawili w kontrapunkcyjne sztuczki muzyczne, nikt jednak tego dziś nie traktuje na serio, a już niepodobna stosować takich pomysłów do hymnu państwowego. Byłby taki hymn włożony sztucznie w pewne ramki, które nikogo nie zadowolniłyby.

Nie jest zadaniem autora dawanie komuś na ten temat rad. Można jedynie zauważyć ogólnikowo, że zmiana hymnu państwowego w Polsce musiałaby przede wszystkim rozpocząć się od tekstu możliwego do przyjęcia przez wszystkich obywateli państwa. Dopóki to nie nastąpi, obecny Mazurek Dąbrowskiego, pomimo jego oficjalnego uznania za hymn państwowy, będzie tylko pieśnią narodową, zrozumiałą i bliską jedynie patriotom narodowości polskiej.

der gwoli Bernardynom kazał ją zburzyć i nową urządzić, co nie obeszło się bez sarkaf siostr. Później też udawały się raz do Wileńskiej kapituły katedralnej o obronę od zbyt może pewnych siebie Bernardynów. Zwykle to były rzeczy zwłaszcza tam, gdy obok stały klasztory męski i żeński, kierowane przez krewkich ludzi w. XVI. Stąd generał Lichetto na kapitule krakowskiej 1520 miał się wyrazić o mniszkach *eiusdem franciscanae familiae*, że *kochą je jak aniołów, ale ucieka od nich jak od djabłów...*

Ciekawe było archiwum Bernardynów Wileńskich, mieszczące zwłaszcza dokumenty, dotyczące spraw wschodnich. Przechowywano je w skrzyni na klucz zamykanej, a będącej niezawodnie pod opieką gwardjana. Był też chyba osobny brat archiwarjusz. Biblioteka, acz liczna, wykazywała dużo luk i wzorów gustu swoistego. Biblioteka Tykocińska zaopatrzona była w książki przez Gasztolda, a Kowieńska otrzymała przeszło 300 książek dzięki Rafałowi ze Lgoty.

*

Narzucanie go dla użytku mniejszościom narodowym w Polsce pozostanie conajmniej niewłaściwym.

Al. S.

Niemal jednocześnie ukazały się numery „Żagarów” w Wilnie oraz „Wiadomości Literackich” w Warszawie, poświęcone prawie w całości kulturze litewskiej.

Sygnalizujemy na razie to niecodzienne zjawisko w prasie polskiej, odkładając szczegółowe omówienie treści do numeru następnego.

Pamięci arcybiskupa Jerzego Matulewicza*).

Zaraz po śmierci s. p. arcybiskupa Jerzego Matulewicza zaczęto zbierać materiały do jego życiorysu. Wydane u schyłku r. ub. pod tytułem powyższym dzieło tu omawiane nie jest jeszcze życiorysem (zwłaszcza takim, na jaki nieboszczyk zasłużył), stanowi jednak wartościowy i ciekawy dół przyczynek i obiecujące zapoczątkowanie. Życie zmarłego było tak urozmaicone a czynne, zawsze pełne sytuacji dramatycznych, a niekiedy nacechowane nawet tragizmem, że zasługuje w pełni na utrwalenie. Podjęli się wydania tego rodzaju pracy marjampolscy marjanie.

Wielką a podniosłą satysfakcją jest lektura tego dużego tomu, który mimo swych rozmiarów, zawiera tylko ułamek tego, co o arcyb. Matulewiczu powiedzieli lub napisali krytycy bezstronni.

Teraz słów kilka o treści, która się dzieli tu na trzy części, a więc:

1) *Zródła biograficzne*, obejmujące okres życia jego od sielskiego dzieciństwa aż do przedwczesnej śmierci. Kolejno przedstawione są tu: środowisko domowe lat dzieciennych i szkolnych (gimnazjalnych, seminaryjnych i akademicko-uniweryteckich), prace dla Kościoła i narodu (pióra b-pa Buczysa), historyczny rys wznowienia zgromadzenia marjanów, przy-

*) *Arkivyskupas Jurgis Matulevičius*. Marijampol 1933, str. 309 z ilustr.

Streszczenie pobieżne dziejów Bernardynów na Litwie i Białorusi świadczy, że ani badacz ruchów narodowościowych, ani takiż ruchu religijnego w przeszłości nie może przejść dziś obojętnie obok wartościowej a ciekawej pracy ks. Kantaka. Ukazanie się w Krakowie świeżo nowej dwutomowej pracy uczonego Bernardyna o. Czesława Bogdańskiego p. t. *Bernardyni w Polsce* potwierdza tylko trafność zainteresowań obu badaczy przeszłości Kościoła, jak też aktualność licznych, a dla większości nawet rewelacyjnych, kontaktów między przeszłością bernardyńską u nas, a sprawami narodowościowymi, kulturalnymi i in. naszego kraju.

jazne stosunki pierwszego generała ich z pap. Piussem XI (ks. M. Krupowicz), ostatnie godziny życia, opis pogrzebu i wiążące się z nim: przemowa pożegnalna prezydenta Smetony, wspomnienie pośmiertne Vaižgantas i I. J., echa śmierci w Rzymie, w prasie i społeczeństwie i dwa wiersze z powodu zgonu arcyb. Matulewicza (Zalia Ruta i J. Augustajstytė Vaičūnienė);

2) *W świetle wspomnień*. Ta część za motto ma hasło arb-pa Matulewicza: *Pro Christo et ecclesial* a zawiera wspomnienia biskupów Staugajtisa, Kuchty, Reinisa, dalej szeregu księży (np. ks. dr. Czesnisa, Tumasa i in.) oraz osób świeckich (uczni L. Norejki, prof. prof. Fr. Dowidajtisa, M. Birżiszki, P. Leonasa, kamerdynera Meciunasa), kilku działaczy litewskich świeckich i zakonnych.

Wreszcie 3) *Per crucem ad lucem*, gdzie znajdujemy liczne wyjątki z notat arcybiskupa i sporo materiału do sprawy nominacji jego na biskupa wileńskiego (list wizytatora msgr. Ratti'go, przemowę ingresową w katedrze, dwa listy pasterskie) przyczynki do tragicznej sytuacji jego w Wilnie, do stosunków z uniwersytetem wileńskim, ostatniego pobytu jego w Kownie, pogrzebu, zapatrywań socjologicznych i t. d.

Charakter przypisów noszą takie końcowe artykuły, jak bibliografia drukowanych prac arbpa Matulewicza, chronologiczne zestawienie ważniejszych dat jego życia i kilka wspomnień, które nadesłane nieco później, znalazły się już na końcu. Jeśli do tego dodamy b. niezupełny spis współpracowników, to suche wyliczenie treści można uważać tu za formalnie zakończone.

Drugim obowiązkiem krytyka to ocena książki. Wydawcy naprawdę dali dużo materiału do sylwetki arcybiskupa Matulewicza. Lecz i luki są liczne. I to nie tylko dzięki niepospolitości i złożoności postaci nieboszczyka, lecz też *wskutek niewykorzystania* materiałów bądź posiadanych już w tece, bądź łatwych stosunkowo do zdobycia. Wprzód jednak rozważymy, jak wypadło to, co w książce pamiątkowej się znalazło.

W pierwszych dniach po ingresie b-pa Matulewicza w Wilnie, endecja w „Dzienniku Wileńskim” piórem J. Obsta próbowała przedstawić ogółowi polskiemu nowego biskupa, jako Litwina o polskiej kulturze. W tym mniemaniu mogła niektórych utwierdzać i polska forma brzmienia i pisownia jego nazwiska *Matulewicz*. Otóż ks. Sakiewicz stwierdza, że dopiero seminarjum kieleckiemu zmarły zawdzięczał tę przeróbkę z litewskiego nazwiska *Matulaitis*. Pięknym a znamionym dla dalszego życia i działalności młodego ks. Jerzego Matulewicza był wybór tematu dysertacji akademickiej *De iure belli et de pace aeterna*. Tak często będąc w ogniu przeróżnych walk, świątobliwy biskup umiał zawsze zachować w duszy *pacem aeternam*. Rzadkie to znamię dusz wybranych. Drugim rysem nieboszczyka była cześć dla Prawdy. Pod tym względem wiernym pozostał dewizie zakonu dominikańskiego *Veritas*, który przez wszechnicę fryburską wpłynął na ostateczne ukształtowanie charakteru Matulewicza jakoczłowieka i kapłana.

Omawiane dzieło zawiera nawet dla tych, co znali dobrze stosunki wileńskie w latach rządów b-pa Matulewicza, niejedną szczegół ciekawą, jako to incydent w kaplicy Ostrobramskiej podczas pobytu w niej marsz. Piłsudskiego, stosunki z arcyb. Hryniewieckim, b-pami Bandurskim i Michalkiewiczem, z wielkorządcami Litwy Środkowej i przedstawicielami władz polskich.

Ciekawe są odezwy obecnego pap. Piusa XI, za pobytu jego w Rzeczypospolitej, o b-pie Matulewiczu, tem więcej, że czerpane ze źródeł polskich. Podczas wspaniałego pogrzebu arcybiskupa w Kownie, prez. Smetona trafnie przeciwstawił zapatrzonemu w cele wieczne zmarłego ludziom żyjącym jedynie *sub specie temporis* i podniósł głęboki uniwersalizm tej świetlanej postaci, dla której nie było *ani Żyda, ani Greka*. Uwagi jest wiele, że Rzym skoro się dowiedział o zgonie zasłużonego biskupa, uczcił nieboszczyka nabożeństwami żałobnymi w obu obrządkach, podkreślając w ten sposób stałe a życzliwe interesowanie się sprawą unijną i umiejętne dążenie do syntezy Wschodu i Zachodu. Dla wilanów do najciekawszych artykułów należy pełny faktów i dat przyczynek b-pa Kuchty. Ponad wszelką wątpliwość jest fakt, że generał marjanów Matulewicz najpozytywniej nie chciał biskupstwa wileńskiego i niczego nie zaniedbał, by ono ominęło go, jedynie *force majeure* zmusiła go do przyjęcia na swe barki tego ciężaru. Jako charakter wybitnie męski i znakomite wyrobiony, wierny był przyjętemu raz zobowiązanu i *nigdy się na nic nie skarżył*.

Tom źródeł nie uwydatnia dostatecznie, że b-pa Matulewicz zrzekł się diecezji wileńskiej *najdobrowolniej*. Przyczyną, która decydująco na ten krok wpłynęła, był niefortunny konkordat polski, który pozwalał polskiemu nacjonalizmowi na szeroką ingerencję do spraw czysto kościelnych, a biskupom wyznaczał upokarzający obowiązek dozoru nielubym jako prawomyślności państwowej kleru. I jedno i drugie było zupełnie obce biskupowi Matulewiczowi. Mógł jednak, ciesząc się przyjaźnią pap. Piusa XI, sprawować dalej rządy już w archidiecezji wileńskiej, stając się automatycznie (jak np. b-p Sapięha w Krakowie) jej arcybiskupem. Oczywiście musiałyby przystosować swoje postępowanie do polityki ówczesnych rządów endeckich. Wolał jednak niezłomny w swych zasadach pasterz złożyć rządy diecezji, niż iść na jakieś, tak obce jego psychice kompromisy z zasadą wolności Kościoła w kraju o wybitnie mieszaną ludność, gdzie Kościół winien być *urbs refugii* dla krzywdzonych i upośledzonych mniejszości.

Charakterystyczną cechą oddziaływania b-pa Matulewicza na ludzi dobrze podkreślił w swem wspomnieniu prof. M. Birżiszka.

Uwagi o tem, co i jak podano, ograniczamy do powyższych, bojąc się by nie rozsądziły ram niniejszego sprawozdania.

Czego nie znaleźliśmy? Nie znaleźliśmy artykułu, któryby omówił ciekawy stosunek b-pa Matulewicza do sprawy unijnej, do sprawy żydowskiej, Rosjan, Niemców i w. in.

W tomie omówionym znalazły się obok głosów litewskich, liczne *polskie*, jak np. b-pa Przeździeckiego, uczonego dominikanina o. Jacka Woronieckiego, głośnego w Warszawie marjanina o. M. Wiśniewskiego, prof. Mi. Zdziechowskiego... Notujemy też głos *ukraiński*—krótkie a piękne wspomnienie o zmarłym metr. Szeptyckiego i *białoruskie* ks. ks. W. Godlewskiego i Ad. Stankiewicza, jak też cytat z W. Łastowskiego. Wreszcie sympatyczne wspomnienie *niemieckie* głośnego jezuitę o. Fryderyka Muckermana.

Głosy polskie winny byłyby być podane w języku oryginału. Uczyniono to przecie dla Ukraińca, Białorusinów i Niemca. Nawet list msgr. Ratti'ego do biskupa nominata Matulewicza podano po litewsku, a nie po łacinie, jakby się spodziewać należało. Wszakże *Arkivyskupas Jurgis Matulevičius*, to nie po-

Pularne wydawnictwo, które zstąpi pod strzechy wieśniacze.

Znaleźliśmy kilka małych omyłek. Stryj arbpa Matulewicz — Jan Matulewicz umarł podczas druku tej książki. Słynny swego czasu Chardigny, za pobytu w Wilnie, był tylko pułkownikiem, a *nie* generałem.. Zbytecznie bawiono się w dyskrecję, pisząc *kun. M. zam. Miłkowski, kun. A. zam. Olszewski, kun. S. — ? i in.*

Brak indeksu osobowego i miejscowości. Nagół pod każdym względem piękna książka, za którą oby rychło ukazał się drugi tom przyczynków. Ma ich i mieć jeszcze będzie redakcja w swej tece i w archiwum marjanów w Marjampolu poddostatkiem.

Rimtas.

Nietrwały pokost.

Nie mamy jak się zdaje na ziemiach naszych żadnych ustaw, dekretów, czy zarządzeń dotyczących zmian nazwy miejscowości. Tem gorzej. Gdyby było takie zarządzenie, niektóre rosyjskie nazwy geograficzne, narzucone ongiś tendencyjnie, byłyby zmienione w ramach pewnej legalności, po orzeczeniu czynników powołanych, które mogłyby umotywić zmianę dawnej nazwy ustaleniem jej pochodzenia rosyjskiego. W obecnej rzeczywistości każdy pisarz gminy, nauczyciel, policjant, osadnik, słowem element napływowy, uważa się za powołanego przyłożyć rękę do zmiany nazwy wsi, zaścianków a nawet nazwisk mieszkańców.

Wytworzyła się sytuacja osobliwa. Kraj nasz posiada dwa oblicza: jedno urzędowe, drugie rzeczywiste. Pierwsze z nich uwidacznia się na szyldach, drogowskazach i w papierach urzędowych, drugie w mowie ludu.

Komukolwiek zdarzyło się jechać przez nasze wsie, temu musiały rzucać się w oczy nazwy miejscowości a nawet nazwiska właścicieli chat tak rdzennie polskie, że można mieć złudzenie, iż kraj nasz niczem się nie różni od Kujaw lub Mazowsza. Tylko niektóre nowe nazwy zdradzają swoje dawniejsze imię chrzestne i świadczą o gorliwości nowych „kumów”.

Zmiany nazw osiedli ludzkich na ziemiach białorusko litewskich dałyby się podzielić na trzy zasadnicze kategorie. Pierwsza, to nazwy zmienione całkiem, naprz. „Wieś 3-go Maja”. Tu nic nie pozostało z dawnej nazwy. Zmiana oczywiście nie powstała z inicjatywy mieszkańców wioski. Zdecydował o tem usłużny zarząd gminy na wniosek jakiegoś przybysza, któremu takie nazwy jak Użupie lub Worobje wydawać się muszą barbarzyńskimi. Zresztą czemu nie skorzystać z okazji zademonstrowania swego hurra-patrijotyzmu? Na taki gest w jego rodzinnych stronach zdobyć się niema możliwości, tu zaś malowanie pokostem polskim jest jeszcze przecież popłatne i mile widziane przez pewne czynniki.

Można sobie wyobrazić zdumienie babulki wiejskiej, gdy się dowie, że jej wieś nazywa się raptem Trzeci Maj. Dlaczego maj i to koniecznie trzeci — pozostanie to dla wielu mieszkańców wsi niezbadaną tajemnicą. Ale ktoby z tego powodu martwił się? Jedną tajemnicą w życiu wieśniaka będzie więcej. Jest ich przecież tyle, że każda nowa nie robi już kłopotu.

Drugą kategorią zmiany nazwy jest jej znie-

kształcenie, przekreślenie. Od lat kilkunastu zjawisko to panoszy się na miarę epidemji. A więc np. stacyjka na wąskotorówce w pow. Święciańskim pod nazwą *Konstantynowo* została przemianowana na *Konstantynów*, bo to brzmi bardziej po polsku. Cóż znaczy wobec takiego argumentu fakt, że w Polsce jest inna stacja kolejowa o identycznej nazwie? Cóż znaczy wypadek i to bardzo częsty, że zabłądzi korespondencja, transport a może nawet i pasażer jeżeli tego wymaga swoiście zrozumiana „racja stanu”?

Ostatniemi czasy powstała w prasie ożywiona polemika na temat, jak nazywa się miejsce urodzenia marsz. Piłsudskiego: *Zułów* czy *Zułow*? Rozchodzi się o jedną tylko kropkę nad Ż. A tyle spisało się papieru. Spór ten należałoby zatytułować: kto bardziej jest daleki od prawdy, czy ten kto pisze i wymawia *Zułów*, czy ten co *Zułow*? Chodzi o to, że obydwaj są w błędzie. By ustalić całkowicie autentyczne brzmienie jakiegokolwiek miejscowości, nie wystarczy przeczytać nazwę na ustawionym przez gminę słupie, lub zajrzeć do aktów gminnych i parafjalnych. Słupy bowiem mają tę właściwość, że próchnieją, nazwy w papierach zaś zacierają się, a przy przepisywaniu często są przeinaczane. Czynnikiem decydującym jest ludność okoliczna od wieków na danym terenie zamieszkała. W ustach ludu wiejskiego nazwa jest tak wiernie oddawana z pokolenia w pokolenie, że nawet władza państwowa może ją zmienić tylko na papierze, nie zmienia zaś na prawdę.

Otóż jeśli chodzi o tak zwany *Zułów*, to badaczom tej nazwy właśnie należało pofatygować się pojechać na wieś i przysłuchać się, jak ta nazwa brzmi w ustach ludu wiejskiego. Dowiedzieliby się wtedy, że po białorusku brzmi ona *Zołowa* (z akcentem na pierwszej samogłosce), zaś mieszkańcy w okolicach Podbrodzia, posługujący się gwara „tutejszą”, powiadają *Zołowo* (akcent na przedostatniej samogłosce). Piszący te słowa, niestety, nie mógł ustalić jak wymawiają liczni w święciańskim powiecie Litwini. Można jednak być pewnym, że nikt z ludności miejscowej nie wymawia ani *Zułów* ani tembardziej *Zułow*.

Trzecia kategoria — to nazwy osad nowopowstałych. Tutaj przybysze w charakterze osadników mieli bardzo wdzięczne, niczem niekrepowane pole do popisu. Wybiera się nazwy najczęściej trudne do wymówienia dla wieśniaka białoruskiego naprz. *Zajezerze, Dobrzyń* a już koroną wszystkiego jest nowoczesna *Kresówka*. (pow. Święciański). Maluczko a napotkamy u nas takie typowe nazwy polskie jak *Trzebieńczyce, Strzemieszycze* i t. p. Jak nowe, obce nazwy wymawia nasz chłop? Nie wymawia wogóle. Niepostrzeżenie powstaje druga nazwa zbliżona do urzędowej lub nie, w każdym razie odpowiadająca duchowi języka okolicznego środowiska. I tak „żyją” obok siebie dwie nazwy: jedna papierowa, bardzo często używana przez ludność, i druga rzeczywista, używana w mowie potocznej ludności.

Nazwy geograficzne można porównać z roślinami. I jedne i drugie potrzebują stosownej gleby, by utrzymać się przy życiu. Roślina szuka odpowiednich warunków klimatycznych, lub przystosowuje się do nich, — nazwa osiedla, rzeki, pola, by zyskać uznanie i zaaklimatyzować się, musi odpowiadać duchowi języka zamieszkałej na danym terenie ludności. Nazwy sztuczne giną lub ulegają zwyrodnieniu.

Obywatel z pod Zołowa.